

### Rozdział I. Kto to jest Benjamin i jak zrodziła się w nim myśl o podróży

„Przez całe moje życie — tak powiada Benjamin III — rośłem i rozwijałem się w Tuniejadówce. Tu spędziłem niemal całe swoje życie, to znaczy aż do mojej wielkiej podróży. Tu się urodziłem, tu ożeniłem się szczęśliwie z moją cnotliwą połowicą, panią Zeldą. Oby długi miała żywot.”

Tuniejadówka to mała miejscina. Leży w zapadłym zakątku, z dala od traktu. Odcięta jest niemal od świata. Dlatego też, jeśli zdarzy się komuś zawitać w jej progi, otwierają się na oścież okna i drzwi we wszystkich domach. Ludzie nie mogą się nadziwić świeżo przybyłemu. Wyglądając z okien zadają sobie nawzajem pytania: Kto to może być? Skąd się tu nagle, ni w pięć ni w dziesięć, wziął? Czego też może chcieć? Nie zamia-ruje aby czegoś? To nie prosta sprawa. Wziął i przybył. Tak nie może być. W tym coś musi tkwić. Trzeba to koniecznie wyjaśnić. Ale póki co, każdy usiłuje popisać się swoją mądrością, swoją przenikliwością. Teorie zaś z palca wyssane mnożą się jak śmiecie. Starsi opowiadają przy tej okazji niestworzone historie. Przytaczają przykłady z przybyszami, którzy tego roku gościli w Tuniejadówce. Dowcipnisie mają na podorędziu właściwe i stosowne powiedzonka. Plebejusze zaś trzymają się za brody i tylko się uśmiechają. Kobiety starsze, ot tak sobie, dla śmiechu sztorcują dowcipnisiów. Śmieją się i gniewają naprzemian. Młodsze kobiety spuszczały oczy. Rzucają łukowate spojrzenia w górę, zasłaniają sobie rękoma usta i pękają ze śmiechu. Rozmowy na ten temat rozwijają się i zataczają coraz szersze kręgi. Przenoszą się potem z domu do domu i niczym kula śnieżna, która tocząc się, coraz bardziej ogromnieje, wpadają do bóżnicy za piec, gdzie kończą swoją wędrówkę wszystkie rozmowy, na wszystkie możliwe tematy. Obojętne czy będą to rozmowy dotyczące tajemnic rodzinnych, czy też wielkiej polityki. Może to dotyczyć polityki Stambułu, ogólnej pozycji Turcji, Austrii lub zgoła spraw handlowych, majątku Rotszylda w porównaniu z fortuną wielkich obszarników ziemskich, lub innych wielkich bogaczy. Wałkuje się tam również pogłoski o złych „ukazach” carskich i głosi się rewelacje o Czerwonych Żydach. Tematów jest zresztą mnóstwo. A tam, za piecem w bóżnicy, zbiera się regularnie stały komitet, w skład którego wchodzi szacowni i wykształceni Żydzi. Obraduje przez cały bity dzień do późna w nocy. Bez reszty poświęca się tej pracy. Członkowie komitetu czynią to nie z pobudek materialnych. Nie otrzymują za to złamanego nawet szeląga. Czynią to jeno dla chwały Imienia Pańskiego. Często bywa tak, że pewne sprawy przenoszą się ze stołu obrad, za piecem, na wokandę w łaźni, na najwyższą ławkę łaźni publicznej. Tam, w obecności plenum, składającego się z miejscowych notabli, po dłuższej dyskusji, wszystkie sprawy zostają zatwierdzone przy użyciu starodawnego zwrotu, którym zwykło się kończyć i pieczętować dokumenty żydowskie: „I wszystko jest zgodne i od dziś nabiera mocy urzędowej”. Po tym fakcie, gdyby nawet zjawili się wszyscy królowie i monarchowie Wschodu i Zachodu i razem domagali się poczynienia zmian w dokumencie, niczego by nie wskórali.

Na jednym takim zebraniu, odbytym na najwyższej ławce w łaźni, o mało nie doszło do totalnej klęski Turczyna. Gdyby znów innym razem kilku zacnych obywateli nie trzymało sztamy z Rotszyldem, to kto wie, co by się z tym biedaczyskiem stało. Niewiele brakowało, a biedny Rotszyld straciłby na tej ławce z dziesięć, do piętnastu milionów. Tak też Pan Bóg, w kilka tygodni po tym, pomógł i uratował Rotszylda. Ludzie, jak to się mówi, byli trochę na rauszu. Na górnej ławce panowało ożywienie, miotełki były w ciągłym ruchu, gdy nagle zgodzono się i pozwolono Rotszyldowi zainkasować 150 min czystego zysku.

Sami zaś mieszkańcy Tuniejadówki - niech was Bóg uchowa przed losem—to bez wyjątku prawie sami biedacy na potęgę. To okropni nędzarze, ale gwooli prawdy, trzeba powiedzieć, że to są nędzarze o pogodnym nastroju, że to biedacy z humorem. Można powiedzieć niepoprawni optymiści. Gdyby tak raptem zapytać Żyda z Tuniejadówki: Z czego się utrzymujesz? Z czego żyjesz? Z początku stanąłby jak wryty. Nie wiedziałby, co odpowiedzieć. Szybko jednak się opamiętuje i odpowiada z całą właściwą mu naiwnością: Ja? Z czego ja żyję? Też mi pytanie. Jest przecież Bóg na świecie. Oto i cała sprawa. On nie opuszcza żadnego ze swoich stworzeń. On daje i będzie dawał. Oto, co mam wam do powiedzenia.

A jednak, czym się pan konkretnie zajmuje? Czy ma pan jakąś pracę, jakiś fach w ręku? Chwała Bogu. Mam, dzięki Bogu. Tak jak tu stoję przed wami. Otrzymałem od niego piękny dar. Mam piękny głos. Umieć śpiewać. W okresie Wielkich Świąt jestem kantorem. Obsługuję całą naszą okolicę. Po trochu jestem też rzezakiem. Przed Wielkanocą zaś robię dziurki specjalnym krążkiem w „macach”. A robię to, jak nikt inny. Od czasu do czasu udaje mi się kogoś wyswatać i to z dobrym skutkiem. Mam też, jak mnie tu widzicie, swoje stałe miejsce w bóżnicy. Na dodatek, ale niech to pozostanie między nami, dzierżawię mały szyneczek, z którego zawsze można coś wydoić. Mam również kozę, która daje, bez uroku, trochę mleka. Niedaleko stąd mieszka mój bogaty krewniak. Gdy bieda przyciśnie, gdy robi się krucho, mogę go troszeczkę poskubać. Ale nade wszystko — powiadam wam — jest Bóg. On jest ojcem, a synowie Izraela pełni są miłosierdzia. Dlatego też z całą stanowczością stwierdzam: nie należy narzekać. Nie należy grzeszyć narzekaniem!

Na chwałę mieszkańców Tuniejadówki należy też powiedzieć, że zadawałają się tym, co Pan Bóg im zsyła. Nie przebierają w potrawach, ani też w strojach. Służę przykładem. Kapota sobotnia może być podarta, może być postrzępiona, może się rozlatywać, może nawet być brudna. Nie przeszkadza to nikomu. Grunt, że jest z atlasu. A że wygląda w wielu miejscach jak rzeszoto, że prześwieca przez nią gołe ciało, też nic. Kogo to może obchodzić? Kto na to będzie patrzył? Weźmy na przykład pięty, które wylażą. A to przecież nie jest gorsze od wytartych pięt. A czyż pięty to nie ciało? Żywe ludzkie ciało?

Kawałek chleba i trochę krupniku to bardzo dobry obiad. Cóż dopiero bułka z kawałkiem mięsa rosołowego w wieczór piątkowy. Oczywiście, jeśli człowiek to ma. To ci dopiero królewska potrawa, to ci dopiero pycha. Chyba nic lepszego na świecie nie istnieje. Spróbuj opowiedzieć mieszkańcom Tuniejadówki, że istnieją inne potrawy poza zupą rybną, pieczonym mięsem, cymesem z marchwi lub pasternaku, a wasze opowiadanie wyda się im wręcz niesamowite. A mają na określenie ich wiele prześmiesznych powiedzonek. Uważają, że ten, co opowiada im o istnieniu innych potraw, jest zwykłym durniem lub wariatem. Że opowiadając im o tym, ma zamiar z nich zrobić wariata. Chce im wmówić chorobę. Chce im wmówić, że krowa latała nad dachem i złożyła tam jajko. Chleb świętojański na Chamisza — Asar Biszwat (15 lipca, Święto Radosne, Święto Drzew) to przepyszny owoc. Gdy patrzysz na niego przypominasz sobie Ziemię Świętą, Ziemię Izraela. Człowiek wytrzeszcza na jego widok oczy i wzdycha: „I poprowadzisz nas triumfalnie i obyś nas zaprowadził Ojciec Serdeczny radośnie. Radością co się zowie. Do kraju naszego, kraju naszych przodków. Kraju, w którym zwykle kozy zjadają się Chlebem świętojańskim”.

Zdarzyło się, że ktoś przywiózł do miasta daktyl. Trzeba wam było zobaczyć, jak ludzie się zbiegli, aby obejrzeć to cudo. Otwarto Pięcioksiąg i pokazano, że „Tamar” czyli daktyl figuruje w nim. Znaczy to, że daktyl, ten właśnie daktyl, rośnie w Izraelu. Patrząc na daktyl miało się wrażenie, że oto roztacza się przed nami ziemia Izraela. Oto przekraczasz Jordan. Oto masz przed sobą grób Abrahama, Grobowiec Racheli, Ścianę Płaczu. Oto zażywasz kąpieli w Morzu Tyberiadzkim. Oto wspinasz się na Górę Oliwną. Objadasz się chlebem świętojańskim i daktylami. Napęlniasz swoje kieszenie ziemią izraelską. Były przy tym westchnienia. Łzy kręciły się w oczach.

W owym czasie, tak opowiada Benjamin—cała Tunie jadówka, od najmłodszych do najstarszych, przebywała w Izraelu. Z zapalem rozprawiano o Mesjaszu. Ani się spostrzegli, że oto minęło już południe dnia piątego. Niedawno zaś przybyły do miasteczka „prystaw” zaczął twardą ręką sprawować swoje rządy. Zdążył już zerwać kilku Żydom jarmułki z głowy. Komuś obciął jeden pejs. Niektórych zatrzymał nocną porą w ciemnym zaułku, za brak paszportu. Innemu znów zajął kozę za to, że zżarła świeży, słomiany dach. Z jego też powodu, obradujący za piecem komitet, zabrał się do Turczyna. Jak długo deliberowano, będzie się tak panoszył władca Izmaela? Zwykłą przy tej okazji rozmowę przeplatano opowieściami o dziesięciu zaginionych plemionach. Opowiadano sobie o tym, jaki szczęśliwy żywot pędzą w tych dalekich stronach. Jak zażywają chwały, bogactwa i jakim szacunkiem są otaczani. Wyciągnięto historię o Czerwonych Żydach, owych synach Mojżesza. Zabarwiali ją fantastycznymi opowieściami o ich męstwie, odwadze itd.

Eldod Hadani<sup>1</sup> odegrał tu, ma się rozumieć, swoją niemałą rolę. Temu to okresowi

zawdzięczam moją podróż, którą wkrótce potem przedsięwziąłem. Do tego czasu Benjamin był jak kurczę w sianie, niczym robak w chrzanie. Był przekonany, że za 5 Tuniejadówką kończy się świat. Że nie ma lepszego i słodsze go życia od tego tutaj.

„Sądziłem — powiada w pewnym miejscu Benjamin — że nie można i nie należy nawet być bogatszym od naszego miejscowego arendarza. Toć nie drobnostka. Taki dom i takie w nim urządzenia. Cztery pary mosiężnych lichtarzy. Sześcioramienna lampa wisząca, z orłem u góry. Dwa miedziane garnki. Do tego pięć miedzianych patelni. Półka talerzy cynowych i chyba z tuzin tombakowych łyżek. Dwa srebrne pucharki. Balsaminka. Świecznik „chanukowy”. Zegar, jak cebula. Dwie koperty z grubym łańcuszkiem, skleconym z piaskowych paciorków. Dwie krowy, jeden cielak oraz dwie kapoty sobotnie itd. itd. i jeszcze, jeszcze wiele dobra. Sądziłem również, że na świecie istnieje jeden tylko, jedyny mędrzec. A jest nim reb Ajzyk — Dawid syn reb Arona — Josła i Sary — Złoty. O reb Ajzyku — Dawidzie nie na próżno mówią przecież, że za młodu już opanował był tajniki ułamków. Przy odrobinie szczęścia mógł nawet zostać ministrem. Albo Chajkl — Jakała. Kto mógłby dorównać mu pod względem prezencji. Kto miał lepszą od niego gadkę? Albo znów nasz doktor, nasz lekarz. Ten ci był specem nad spece. Potrafił umarłych do życia przywrócić. Jak wieść głosiła, arkana sztuki lekarskiej przejął od cygana wywodzącego się. jakoby wprost od kapłanów — czarowników egipskich.

Jednym słowem, życie w miasteczku wydawało się Benjaminowi bardzo piękne i bardzo dobre. Prawda, on sam żył w niedostatku. Jego żona i dzieci chodziły w łatanych ubraniach. Ale, czy kiedykolwiek wpadło Adamowi i Ewie do głowy wstydzić się z powodu tego, że paradowali po raju goło i boso?

Cudowne opowieści o Czerwonych Żydach, o zaginionych dziesięciu plemionach głęboko zapadły mu w serce. Od tego momentu zrobiło mu się w jego miasteczku ciasno. Zaczęło go ciągnąć gdzieś do dalekich krajów. Rwało się w nim serce do tamtych stron tak, jak wyrrywają się ku księżycowi wyciągnięte rączki dziecka. Z pozoru niby nic. Czym jest daktyl? Czym prystaw, jarmułka i pejs? Czym Żyd nieszczęsny, nocą pojmany w zaułku? Czym koza lub dach słomiany? Wszystko to jednak razem wzięte dokonało w nim metamorfozy. Spowodowało to, że zaofiarował światu swoją sławną podróż. Na tym świecie nieraz tak już bywa, że z małych rzeczy wyrastają wielkie. Tak oto chłop sieje pszenicę i żyto. Młynarz przepuszcza je przez młyn. Część mąki poszła do gorzelni i zamieniła się w wódkę. Część dostała się w ręce szynkarki Gitli. Ona rozczyniła mąkę, ugniotła ją, zmiesiła i wyszło ciasto. Tysiące lat temu Fenicjanie wynaleźli sposób na wytwarzanie szkła. W ten sposób powstały szklanki i kieliszki. I tak oto za sprawą małych rzeczy pojawili się w wielu miastach zarówno wstrętnei przywódcy Kahału, jak też znakomici i sławni ludzie.

Możliwe, że w Benjaminie tliła się iskierka podróżnika. Zgasłaby jednak niechybnie, gdyby jej nie rozdmuchały owe małe wspomniane przeze mnie rzeczy, owe opowieści z okresu poprzedzającego jego podróż. Gdyby nawet tłąca się w nim iskierka nie zgasła, to bez owych małych rzeczy. Benjamin nie miałby w sobie tak wielkiej siły. Z upływem lat może wyrósłby z niego woziwoda, albo co najwyżej bałagula.

Spotkałem w moim życiu wielu bałagulów. Spotkałem też wielu łaziebnych, którzy mogli zostać podróżnikami. Klnę się, że nadawali się na podróżników nie gorzej od wielu wędrujących dziś po świecie Żydów. Ale nie o tym chciałem mówić.

Od tego czasu Benjamin zaczął pilnie czytać opisy podróży morskich i pustynnych Rabi Bar—Bar Chone. Sięgnął również po książkę Eldod Hadani oraz „Podróże Benjamina”, który przed siedmiuset laty wyruszył na krańce świata. Studiował również

„Sziwchej Jeruszołaim” 2 wraz z suplementem oraz „Cel Olam” (cień świata), książkę, która na siedmiu niewielkich kartkach zawiera wszystkie siedem dziedzin wiedzy. Przytacza ponadto dziwy i cuda z całego świata, w tym również ze świata dzikich i osobliwych istot. Te właśnie książki otworzyły mu oczy i zmieniły go całkowicie.

„Byłem — powiada Benjamin w swojej książce — wprost zafascynowany tymi cudownymi opowieściami. Nieraz wrywał mi się okrzyk zachwytu: Gdyby Pan Bóg pozwolił mi ujrzeć na własne oczy choć jedną setną owych dziwów! A myśli moje ulatywały już wtedy daleko, daleko”.

Od tej chwili Tuniejadówka była już dla niego za ciasna. Postanowił wyrwać się za wszelką cenę. Był jak kurczę, które zaczyna się wykluwać z jajka na jasny świat.

## **Rozdział II. W jaki sposób Benjamin został męczennikiem, a Zeldą słomianą wdową**

Z natury nasz podróżnik Benjamin był szalenie bojaźliwy. W nocy bał się samemu wychodzić na ulicę. Mowy nie było, by spał sam w izbie. Nawet, gdyby go ozłocono. Dla niego najmniejsze oddalenia się od miasta oznaczało groźbę dla życia. Mało bowiem może się, uchowaj Bóg, zdarzyć? Na widok najmniejszego nawet psa oblatywał go śmiertelny strach.

Pewnego razu — opowiada Benjamin — któregoś dnia, jak dziś to pamiętam, upał był niemożliwy i nasz rebe w asyście jednego ze swoich ludzi, wybrał się nad rzekę, aby zażyć kąpieli. Ja wraz z kilkoma chłopcami, moimi kolegami, szliśmy za nimi. Z wielkiego szacunku dla rebe go posuwaliśmy się w odpowiednim oddaleniu. Przekonani byliśmy, że czeka nas nie najgorsza przygoda. Byliśmy pewni, że zdając się na rebe go, wrócimy cali i szczęśliwi do domu. Toć to nie żarty przecież. Rebe, do którego tylu ludzi na świecie żywi głęboki szacunek, jest tak wielki i ważny, że nie ma już chyba nikogo nad nim. Już samo wyliczenie jego tytułów zajęłoby całą stronicę.

Tymczasem rebe, nasza ostoja, nasz obrońca, nasz puklerz, szybkim krokiem podążał w kierunku rzeki. Myśmy pozostali nieco w tyle. Nad brzegiem rzeki, gdy rebe zaczął się rozbierać, raptem wyskoczył jakiś łobuziak i poszczuł na niego swego psa. W tym momencie nasz obrońca, nasza ostoja, ledwo żywy ze strachu, przytrzymując jedną ręką, za przeproszeniem swoje rozpięte spodnie, drugą zaś okrągłą czapkę, wziął nogi za pas i uciekł. My chłopcy, rzecz jasna, zupełnie zatraciliśmy się. Jeśli bowiem sam Lewiatan dał się złapać na wędkę, to co my, płotki, mogliśmy zrobić w tym błocie? Myśmy napięli swoje lędźwie i chyżo, niczym jelenie rzuciliśmy się do ucieczki. Gorzko zawodząc i wniebogłosy krzycząc pędziliśmy, co koń wyskoczy do miasta. Bez tchu niemal, dopadliśmy razem z naszym bohaterem rogatek miasta. W mieście powstał popłoch. Ze wszystkich stron zbiegli się ludzie. Rozległy się krzyki: Pali się! Biją! Mordują!

Gdy Benjamin postanowił wyruszyć do dalekich krajów, uznał za wskazane przezwyciężyć przede wszystkim wewnętrzny strach i wzmocnić się duchowo. W tym celu zmuszał się do odbywania dalekich spacerów, najczęściej późną nocą. Kładł się spać sam w pustym pokoju. Zapuszczał się daleko za miasto. Nie zważał na to, że nieustanne zmaganie się ze strachem kosztowało go dużo zdrowia, że zmizerniał i zmarniał. Jego nowy styl życia, jego błada i zamyślona twarz, jego częste ucieczki wywoływały u ludzi zdumienie. Wzięto go na języki. Nicowano na różne sposoby. Jedni twierdzili: nic innego, ino zwariował. Ma zwyczajne kuku na muniu. Po pierwsze — tak uzasadniali swoje twierdzenie — Benjamin jest w ogóle głupkowaty. Brak mu piątej klepki. Od kilku lat Tuniejadówka nie posiada swego wariata. A przecież to rzecz powszechnie znana i niejednokrotnie dowiedziona, że każde miasto ma swoich mędrców i swoich wariatów. Nie ma takiego miasta, które by nie posiadało własnego mędrca i własnego wariata. Zwłaszcza dziś, gdy mamy takie upały. Dlaczego więc nie wysnuć z tego faktu najprostszego wniosku, że Benjamin jest wariatem. Inni natomiast, z reb Ajzyk-Dawidem synem reb Arona — Josła i Sury — Złaty wzruszali tylko ramionami: Co tam, gdzie tam!

Nie da się zaprzeczyć, że Benjamin jest głupkowaty, nawet bardzo głupkowaty. Z tego jednak, bynajmniej, nie wynika że musi być również wariatem. Gdyby tak było, to dlaczego dopiero

teraz, a nie wcześniej zwariował? Przed dwoma laty i również rok temu upały były przecież niepomrotnie większe. Jakiż więc stąd wniosek? A wniosek nasuwa się sam. Weźmy dla przykładu naszą rzekę. Rzeką naszą, a fakt to niezbity, co roku pochłania w swoich falach człowieka. Od kilku jednak lat nikogo nie pochłonęła. Przeciwnie. W ostatnich latach obniżyła poziom swojej wody. W niektórych miejscach można ją przejść suchą nogą. Co zaś do Benjamina? zostawmy go...

Najliczniejsi jednak, wśród nich kobiety, twierdzili z uporem: ani chybił, ma kontakt z Nim... nie ulega kwestii, że zadaje się z nim... z diabłem. Bo jakże inaczej można wytłumaczyć to, że tak często znika? Jak i czym objasnić jego dłuższe nieobecności? Z jakiego to powodu sam sypia w spiżarni? Zełda, jego własna małżonka opowiada, że w nocy coś stuka u niego w spiżarni. Słyszysz jakieś kroki...

Te oto rozmowy, na ten właśnie temat, zawędrowały, jak zwykle, do bóżnicy. Za piec, a stamtąd na najwyższą ławkę w łaźni. I tam nie zdołano również uzyskać jednolitego poglądu na sprawę Benjamina. Uzgodniono powołać na razie specjalną grupę — komisję składającą się z kilku poważnych Żydów i Soj-fera która miałaby za zadanie chodzić od domu do domu i na podstawie listy sprawdzić i przejrzeć wszystkie „mezuzy”. A jako że zebranie potraktowało sprawę nad wyraz poważnie, że uznało ją za problem o znaczeniu ogólnospołecznym, za akt mogący mieć dobroczynne skutki dla miasta, postanowiło, dla pokrycia ewentualnych kosztów, związanych z tą akcją, podnieść ceny na mięso...

W Tuniejadówce krążyło powiedzonko: od czego by nie zacząć rozmowy, zawsze się zejdzie na temat śmierci. Nad czym by nie debatowano na zebraniu, zawsze się skończy na podatku od mięsa. W istocie rzeczy jest to zjawisko normalne. Nie może nawet być inaczej. Tak dyktuje rozum. Przeznaczeniem bowiem człowieka jest śmierć, zaś przeznaczeniem każdego Żyda jest podatek. Prościej mówiąc, każdy człowiek musi umrzeć, a każdy Żyd musi płacić podatek. Śmierć i podatek, z natury swojej, to dwie rzeczy, od których ani rusz nie można się uwolnić. Takim już stworzył Pan Bóg nasz świat. I tak jest dobrze. Widocznie tak musi być. Pytania zaś zadają tylko heretycy.

W jakiś czas po tym przytrafiła się Benjaminowi przygoda. Przysporzyła mu ona niemało sławy. Pewnego dnia, szedł do miasta. Był upalny dzień lipcowy, godzina dwunasta, samo południe. Słońce piekło niemiłosiernie. Dotarł do lasu. Ani się spostrzegł, jak głęboko zanurzył się w nim. Uszedł na odległość prawie dwu stref sobotnich. Przy sobie miał książki, bez których się nie ruszał. Usiadł pod drzewem i zaczął głęboko się zastanawiać. A miał nad czym rozmyślać. Wnet myśli jego uleciały daleko. Przeniosły się do owych krajów, które znajdują się gdzieś na krańcach świata. Oto przemierza góry, przechodzi przez doliny, pokonuje pustynię. Słowem,

dociera do miejscowości, które figurowały w jego książkach. Oto wędruje śladami „Aleksandra Macedońskiego, Eldoda Hadaniego” itp. Spotyka straszliwego smoka. Widzi węże, napotyka jakieś fantastyczne potwory. Staje przed najrozmaitszymi przedmiotami i istotami groźnymi. Oto przedarł się już i dotarł do Czerwonych Żydów. Odbił rozmowę z synami Mojżesza. Po tym wszystkim wraca szczęśliwie do siebie i rozmyśla. Właśnie pod tym drzewem siedzi i kombinuje w jaki sposób doprowadzić swoją podróż do skutku.

Na tych rozmyślaniach zastała go noc. Wstał, rozprostował kości i ruszył w drogę powrotną do domu. Idzie, idzie, ale z lasu wydostać się nie może. Mija godzina. Minęły dwie. Już trzecia i czwarta minęła, a końca wciąż nie ma. Jeszcze bardziej za-brnął w las. Dookoła ciemno, choć oko wykol. Nagle zerwała się burza. Spadł deszcz niczym potop. Zaczęło błyskać i grzmieć. Rozszumiały się drzewa. Strach. Benjamin zatrzymał się. Smagał go deszcz. Ze strachu i zimna szczerkał zębami. Zdawało mu się, że oto napada na niego niedźwiedź i czyha na niego lew. Czai się lampart. Oto zbliża się „Matul”, potwór, o którym „Cel Olam” mówi, że jest to potężny stwór o dwu długich łapach. Zdolny jest powalić słonia. Nieszczęsnym Benjaminem wstrząsnęły dreszcze. Na dodatek był śmiertelnie głodny. Od samego rana niczego poza gryczanym pierogiem nie miał w ustach. Pocz wpływem tych nieszczęść zaczął odmawiać wieczorną modlitwę. A modlił się żarliwie, całym sercem.

Bóg przyszedł z pomocą. Zaczęło świtać. Nasz Benjamin zdaje się na łaskę Boga i znowu rusza w drogę. Idzie, idzie, aż wreszcie natrafia na ścieżkę. Mijają dwie godziny, a on wciąż kroczy tą ścieżką. Nagle dolatuje go głos człowieka. Miał się uradować, on uległ przerażeniu. Zdawało mu się, że to nikt inny, tylko rozbójnik. Ogarnął go strach. Rzucił się do ucieczki. Szybko się jednak opamiętał. Benjaminie! Chcesz Dokonać dalekie morza i pustynie, które roją się od różnych potworów, wszelakich bestii i dzikich ludów, a na samą myśl o spotkaniu z rozbójnikiem, ogarnia cię strach. Nie ładnie! Uwierz mi! Powinieneś się wstydzić Benjaminie. Czyż Aleksander Macedoński poddał się zwątpieniu, gdy lecąc na orle zauważył, że mięso nadziane na szpic dzidy, wysuniętej przed dziobem orła, które pociągało go za sobą coraz wyżej i coraz dalej, zostało przez niego doszczętnie wydziobane? Nie! Aleksander Macedoński nie cofnął się. Nie uciekł. Wyciął ze swego ciała kawał żywego mięsa i nadział na szpic dzidy. Proszę cię Benjaminie. Bądź silny. Bóg chce cię tylko wystawić na próbę. Jeśli przejdiesz ją zwycięsko, będzie ci dobrze. Nawet lepiej, niż dobrze. Wtedy Benjaminie w pełni zasłużysz na miano człowieka. Staniesz się godnym łaski bożej. Osiągniesz swój cel. Dotrzesz do synów Mojżesza i będziesz miał okazję odbyć z nimi rozmowę na temat naszych tutejszych Żydów. Opowiesz o tym, co robią i czym się zajmują. Jeśli teraz zwycięsko przejdiesz przez próbę i w porę pójdziesz w kierunku głosu, to możesz być pewnym, że żadne strachy nie zmożą ciebie. Żadne lęki nie zmożą ciebie. Staniesz się wzorem doskonałości. Dzieci Izraela będą cię błogosławić. Naszej zaś całej Tuniejadówce przysporzysz szacunku. Odtąd, od tego momentu Tuniejadówka i Macedonia figurować będą obok siebie, jak dwie równe co do sławy miejscowości na świecie. Jedna dzięki Aleksandrowi Tuniejadowskiemu, druga dzięki Benjaminowi Macedońskiemu.

Oczywiście, że nasz Benjamin zawrócił. Pokrzepiony na duchu, jak bohater, w którego wstąpiła nowa otucha, ruszył naprzód w kierunku rozbójnika. Wkrótce go też ujrzał. A był to chłop na wozie pełnym worków, zaprzężonym w parę wołów.

Dobry Deń! Wypalił szybko Benjamin. Głos miał przy tym dziwny. Pełen rozmaitych odcieni. Ni to krzyk, ni to prośba. Coś takiego,, jakby: możesz ze mną zrobić, co ci się żywnie podoba”. Albo inaczej: „O rety! mniej litość nade mną, ulituj się nad moją żoną, nad moimi biednymi dziećmi”. Powiedziawszy, albo lepiej wykrzyknawszy, albo jeszcze lepiej wypłakawszy ten Dobry Deń, Benjamin natychmiast zgubił języka w gębie. Jakby się udławił. Dostał zawrotu głowy. W oczach mu pociemniało. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Jak martwy osunął się na ziemię.

Gdy wkrótce po tym przyszedł do siebie i otworzył oczy, zauważył, że leży na wozie, na ogromnym worku kartofli, przykryty grubym kocem. U wezglowia leżał spętany kogut. Ten jednym okiem gapił się na niego i jednocześnie nie przestawał drapać go pazurami. U jego nóg stały koszyki pełne młodego czosnku, cebuli i różnych jarzyn. Jaja też chyba tam były, albowiem kurz z suchego siana unosił się w powietrzu i zasypywał mu oczy. Chłop siedział na wozie i spokojnie sobie kurzył fajkę. Co chwila pokrzykiwał na woły: sop, hajta, sop! Woły z trudem poruszały się. Koła wozu potwornie skrzypiały. Każde skrzypiało inaczej. W sumie powstał z tego koncert, od którego bębenki w uszach pękały. Również kogutowi koncert nie przypadł do gustu. Za każdym bowiem razem gdy koła, wykonując pełny obrót wydawały potrójny jakby świst, kogut mocniej drapał Benjamina pazurami. Piał przy tym gniewnie swoje Kuku--Ryku. Piał z taką siłą, że przez dobrych kilka chwil po skończeniu, długo bulgotało mu jeszcze w gardle. Benjamina bolały wszystkie gnaty. Był w stanie całkowitego ogłuszenia. Prawdę powiedziawszy nie były to żarty. Przeżył głód, chłód, nękał go strach. Smagał go deszcz. Wydawało mu się, że został na pustyni pojmany do niewoli przez jakiegoś Turka. Oto Turek prowadzi go na targ niewolników. Pomyślał sobie: Niechby mnie sprzedał przynajmniej jakiemuś Żydowi. Miałbym wówczas jakąś szansę wyzwolenia się. Ale ten gotów jest sprzedać mnie jakiemuś księciu. Wtedy krewa. Wtedy przepadłbym z kretelem. Na dopełnienie tego obrazu, przypomniał sobie historię Józefa i Putyfary. Złapał go przy tym wspomnieniu silny ból. Z serca wydobyło mu się ciężkie westchnienie. Usłyszawszy westchnienie Benjamina, chłop obejrzał się do tyłu. Przysunął się bliżej do niego i zapytał:

— No, Żydku, a szczo, troszkę lepsze?

Benjaminowi zrobiło się troszkę jaśniej w głowie. Przypomniał sobie wszystko, co zaszło.

## Podróże Benjamina III

Wpisany przez rb. Aron Baranowski

Czwartek, 21 Marzec 2013 13:37 - Zmieniony Sobota, 10 Sierpień 2013 09:11

---

Sytuacja, w jakiej się znalazł, była jednak wielce kłopotliwa. Ani w ząb nie rozumiał języka, którym się posługiwał chłop. Co robić? Jakiej udzielić mu odpowiedzi? Jak się dogadać z nim i w jaki sposób dowiedzieć się od niego, dokąd go wiezie? Benjamin spróbował przybrać pozycję siedzącą. Ale na próżno. W kościach okrutnie go łamało.

— Troszkę tebe lepsze? — zapytał go po raz drugi chłop i zaraz dodał — Sop, hajda, sop!

— Lepsze. Tylko moje ryby. (miał na myśli fis = nogi, a wymawiał z litewska fisz = ryby). Oj! Oj!

— wyjaśnił Benjamin, jak tylko mógł i wskazał na swoje nogi.

— Izwidki ty Żydku?

„Izwidki ty Żydku?” — powtórzył Benjamin w tonacji, w jakiej czyta się Torę. Ja jestem Niomka. Beniomka z Tuniejadówki.

— Ty jesteś z Tuniejadówki? Każy że szczo ty wytarszczył na meni oczy i glianysz jak szalony? A może ty taki i szalony. Treści twoi materi? Sop, hajta, sop!

— Ja, jak-to? Ja Niomka, sam ub Tuniejadówki — odparł Benjamin.

Zrobił przy tym błagalną minę i wskazując na siebie ręką, błagał o litość:

— Ub Tuniejadówki, żinka tebi da czarkę „ślisz” 3 i szabasz-kowe bułkę i dobre dankujet tebi.

Chłop widocznie domyślił się tego, co Benjamin powiedział.

— Dobra Żydka — odrzekł i usadowiwszy się twarzą do wołów, zawołał:

— Sop, hajta, sop!

W dwie godziny póniej wóz zajechał prosto na rynek w Tuniejadówce. Kobiety i mężczyźni otoczyli go zwartym kołem. Obsypali chłopą gradem oytań. Jeden krzyczał: Czujesz, skilki chcesz za piweń, za cebulę? Drugi znów pyta: może majesz kartofle? Może majesz jajcy?

Z grona otaczających wóz pada pytanie: Czujesz, może ty baczył na drogi Żydka? U nas jeden taki Żydko Biniomka wczera pripał jak ub wody. I zanim chłop zdążył odpowiedzieć, baby rzuciły się na wóz. Zdarły koc i jednym głosem ryknęły: Jest! Mamy go. Tu jest Benjamin! Cypo — Krojno! Bas — Szewa — Brajndl, biegnijcie szybko po Zełdę. Przekażcie jej dobrą nowinę. Jej zguba znalazła się. Koniec z jej wdowieństwem.

Zrobił się tumult. Powstało zbiegowisko. Rozkołysała się cała Tuniejadówka. Kto żyw przyleciał, aby na własne oczy ujrzyć Benjamina. Zasypano go słowami, pytaniami i odpowiednimi powiedzonkami. Opowiadano, jak to przez cały dzień i całą noc szukano go. Przepenetrowano cały teren. Każdą piędź ziemi. Uznano go już za męczennika. Ogłoszono już jego żonę nieszczęsną wdową.

Nagle, wśród tego gwaru i tumultu przybiegła jego żona. Zanosila się, na widok swojego ślubnego małżonka płaczem. Ten, blady jak śmierć, leżał tymczasem nieruchomo na wozie. Zełda nie przestawała łamać rąk. Nieszczęsna nie wiedziała, co ma robić. Czy obsztorcować go solidnie i wyładować na nim całą swoją zapiekłą gorycz, czy też cieszyć się. Czy uzewnętrznić i okazać swoją radość, swoje szczęście, że Bóg jej nie opuścił.

Zaraz potem wzięto Benjamina, tak jak leżał na worku z kartoflami i triumfalnie, z wielką pompą przeprowadzono przez cały rynek. Tuniejadówka, od najstarszych do najmłodszych okazywała mu cześć. Bez specjalnego zaproszenia odprowadzała go do domu. Wśród gwaru i tumultu rozległy się głosy: męczennik, męczennik, męczennik. Od tego czasu przydomek męczennika przylgnął do niego na zawsze. Odtąd nie nazywano Benjamina inaczej, jak tylko Benjamin Męczennik. Zełdę zaś Słomianą Wdową.

Tego samego jeszcze dnia zjawił się u Benjamina lekarski spec z Tuniejadówki. Ten zaczął go leczyć z pomocą wszystkich dostępnych mu środków. Postawił mu bańki. Przystawił pijawki. Ogolił od stóp do głów. Przed odejściem zaś powiedział, że po zastosowaniu tych wszystkich środków, przy pomocy bożej wyzdrowieje i nazajutrz rano będzie mógł, jeśli oczywiście stać go na to będzie, pójść do bóżnicy. Tam ma odmówić modlitwę na intencję ocalenia.

### Rozdział III. Jak Benjamin związał się z Senderł-Babą

Z pozoru wydawało się, że przygoda Benjamina, która przysporzyła jego żonie tylu cierpień, wywołała tyle poważnych i różnych komentarzy, tak w mieście, jak i za piecem bóżniczym i na najwyższej ławce w łaźni męskiej, powinna była raz na zawsze wybić mu z głowy wszelką myśl o wyprawie do dalekich krajów. Nic z tych rzeczy jednak. Przeciwnie, myśl ta jeszcze bardziej wryła mu się w głowę. Odtąd z większym szacunkiem spoglądał na siebie samego. Uważał, że jest już bardzo doświadczony, że niemało już w swoim życiu przeszedł. Niepomrotnie urósł we własnych oczach. Wykazał bowiem niezwykle hart ducha w chwilach ciężkich prób. Zdołał pokonać własną słabość. Zaczął tedy uważać się za bohatera, za uczonego, za biegłego we wszystkich siedmiu dziedzinach wiedzy ludzkiej, zawartej w księdze „Cel Olam”. Pochłaniał wszystkie książki tego rodzaju. Nasiąkał ich mądrościami jak gąbka. Zdawało się, że wie już wszystko o tym, co się dzieje na świecie. Powoli zaczął stawać się znawcą samego siebie. Zaczął odczuwać litość nad samym sobą. Oto on, człowiek tak wielkiej miary, znalazł się w sytuacji róży wśród kolców. Jednym słowem, on sam stał się różą, a dookoła same kolce. I to gdzie? W Tuniejadówce. W takiej dziurze, wśród prostaków, którzy nie mają zielonego pojęcia o własnym życiu. Wyważone słowa i mądre powiedzonka, które kierowane były pod jego adresem, jeszcze bardziej przyspieszyły jego decyzję podróży. Chciał się jak najszybciej stąd wydostać. Jak najprędzej opuścić Tuniejadówkę.

O jednym tylko nie przestawał myśleć: „Chciałbym dożyć tej chwili, aby wyruszyć w daleką podróż i po jej zakończeniu powrócić szczęśliwie do domu. Chciałbym nieść Żydom pomoc i pociechę w momencie, gdy wrócę w aureoli sławy. Wtedy cała Tuniejadówka przekona się, kim jest Benjamin. Co ja, Benjamin, znacę...”

Na razie Benjamin zmuszony był z kilku małych powodów powstrzymać się od wyprawy. Pierwsza przyczyna: Skąd zdobyć pieniądze na podróż? Sam nigdy nie śmierdział groszem. Całymi dniami, bez konkretnego zajęcia i powodu, przesiadywał w bóżnicy. Dom utrzymywała jego małżonka. Ona zarabiała. Ona prowadziła tak zwaną „mokrą apteczkę”, czyli coś w rodzaju kramika, lub małego szynku. Założyła zaś ten szyncek w momencie, gdy skończył się bezpłatny wikt jej i męża u swoich rodziców. Zresztą, pożał się Boże, co to był za kramik. Gdyby nie dorabiała szyciem i skubaniem pierza w czasie długich nocy zimowych i gdyby nie wytapiała smalcu na święta wielkanocne i gdyby nie udało się jej ubijać korzystnych interesików ze znajomymi chłopami, to by naprawdę nie można było żyć. Zastanawiała się często, czy nie należałoby sprzedać czegoś ze swoich rzeczy. Ale co tam w domu miała do sprzedania? Parę

miedzianych lichtarzy odziedziczonych po rodzicach. Nad świecami w lichtarzach odmawiała błogosławieństwo w wigilię sobót i świąt. Czyściła je też regularnie i pedantycznie. Czerpała z tej roboty jakąś szczególną radość. Rzecz jasna, że biżuterii nie miała. Na to miano w żadnej mierze nie zasługiwały srebrny pierścionek i perły osadzone w chustce na głowę, którą otrzymała od matki. Chusta leżała głęboko schowana. Bardzo rzadko używała jej. Wkładała ją od wielkiego dzwonu. Musiało być albo święto, albo wizyta z okazji uroczystości rodzinnych. A może należało opylić coś ze „skarbów Benjamina”? Cały jednak jego majątek składał się z jednej, jedynej szabasowej kapoty atlasowej. Kapota, uszyta jeszcze z okazji ślubu, była już podarta. Z przodu i z tyłu rozlatywała się. Jej żółta podszewka w wielu miejscach przeświecała. Prawda, miał jeszcze tułup, ale pożał się Boże, co to był za tułup. Z nazwy tylko. Kołnierz goły bez pokrycia. Gdy brał ślub, ojciec jego narzeczonej, oby z jego łaski Benjamin miał długi żywot, obiecywał, że nie pożałuje futra na pokrycie kołnierza. Ale póki co, polecił pokryć go materiałem podszewkowym. Zostało mu bowiem trochę tego materiału po własnej kapocie. Futra miał dostarczyć razem z uiszczeniem ostatniej raty posagowej. A że posagu do końca nie wypłacił, to nic dziwnego, że tułup i kołnierz zostały do dnia dzisiejszego w pierwotnym stanie. Po drugie: Benjamin po prostu nie wiedział, w jaki sposób wyrwać się z domu. Rozwahał. Może pogadać z żoną i wyłożyć kawę na ławę? To nie wchodziło w rachubę. Za dużo byłoby wrzasku i zamieszania. Gotowa byłaby wylać morze łez. Uznała by go w końcu za skończonego wariata. A w ogóle, czy kobieta jest w stanie zrozumieć takie sprawy? Kobieta, a niech to nawet będzie kozak-baba, zawsze pozostaje kobietą. To, co byle jaki mężczyzna ma w jednym palcu, tego nie ma i mieć nie może w głowie najlepsza i nawet najmądrzejsza kobieta. A może wymknąć się cichaczem i zapomnieć o pożegnaniu? Przykra sprawa. Tak może postąpić tylko Litwak. A może pozostać w domu i wyrzec się podróży? To byłoby niemożliwe. To równałoby się samobójstwu.

Podróż weszła mu w krew. Tak, jak Żyd musi trzy razy na dzień odmawiać modlitwę, tak Benjamin musiał nieustannie myśleć o podróży. Myśl o niej nie opuszczała go nawet we śnie. Ciągłe mu się majaczyła. Zapuściła głębokie korzenie w jego sercu. Przestłoniła mu oczy. Wdarła się do jego uszu. Otaczającej go rzeczywistości nie dawał dostępu do siebie. Widział i słyszał tylko to, co się działo w odległych krajach. Nieraz bywało, że rozmawiając z kimś wtrącał takie oto słowa: Indie, Sam-bation, Antypody, Smok, Osioł, Muł, Chleb Świętojański, Ambrozja, Turek, Tatar, Rozbójnik i wiele podobnych słów.

Podróż jednak musiała w końcu dojść do skutku. Problem polegał na tym, jak usunąć przeszkody. Był bezradny. Doszedł do wniosku, że musi mieć kogoś, z kim mógłby się w tej sprawie poradzić. A był w Tuniejadówce taki człowiek. W sam raz się do tego nadawał. Nazywał się Senderł. Takie właśnie imię otrzymał po swoim pradziadku. Nasz Senderł, nasz wspaniały Senderł był człowiekiem prostym, człowiekiem prostodusznym, nie znającym się na kawałach. Miał swoje stałe miejsce w bóżnicy. Prawda, że miejsce to znajdowało się za bimą. Znak, że do notabli nie należał. Do śmietanki i do elity daleko mu było. Miał on zwyczaj przysłuchiwać się rozmowom prowadzonym w bóżnicy. Słuchał zaś z powagą, w milczeniu, tak jak to zwykle czyni człowiek postronny. A jeśli czasem, mimo to wyrwał się słowem, to w odpowiedzi wybuchał

śmiech. Oczywiście nie z tej racji, że w jego słowach zawarta była jakaś nadzwyczajna mądrość lub coś odkrywczego. Po trzykroć nie. Po prostu każde jego słowo wywoływało śmiech. I to nie bacząc nawet na to, że nieborak wypowiadał je z całą wrodzoną mu prostodusznością, że wcale nie miał najmniejszego zamiaru kogokolwiek rozśmieszyć. Przeciwnie, gdy wybuchał śmiech, wybałuszał ze zdziwienia oczy i starał się tylko zrozumieć przyczynę. Nie miał też tego za złe nikomu. Z natury bowiem był dobrym i łagodnym człowiekiem. Takim, jakim czasami bywa cicha i łagodna krowa. Pojęcia nawet nie miał, że można mieć do kogoś za to pretensję. A że ktoś się śmieje, no to co? Niech się śmieje. Widocznie sprawia mu to przyjemność.

Trzeba jednak przyznać, że w słowach Sanderła tkwił czasami głęboko ukryty sens, choć on sam nie zdawał sobie sprawy z tego. On po prostu w swojej naiwności tak sobie mówił. Lubiano stroić sobie żarty z niego. W dniu 9 AW (dzień żałobny wskutek zburzenia Świątyni. Dzieci obrzucają się wtedy bodzia-kami. Ma to przysporzyć smutku) najwięcej bodziaków dostawało się jego pejsom. Słowem, Sanderł zawsze i wszędzie był kozłem ofiarnym. W przeciwieństwie do wielu ludzi, nie był uparty. Jeśli ktoś powiedział tak, to Sanderł uważał to za słuszne. Sanderł zgadzał się z każdym, nie dlatego, że ustępując komuś w jakiejś sprawie, chciał żeby tamten ustąpił mu w innej sprawie. Nie. on po prostu i zwyczajnie zgadzał się z każdym. On spełniał życzenie każdego.

Co mnie to szkodzi? Zwykł był mawiać. Co mi tam? Koniecznie chcesz, że by było tak, niech będzie tak. Wśród chłopców Sanderł starał się być chłopcem. Często przychodził do nich na rozmowę. Brał udział we wspólnych zabawach. Mia! z tego dużą satysfakcję. W ich gronie Sanderł zachowywał się rzeczywiście jak łagodna krowa, która dopuszcza do siebie dzieci, pozwala się ujeżdżać, drapać po pysku. Łobuzy z Tuniejadówki włożyły mu na głowę. Szczypały w brodę. Niektórych to raziło. Ci besztali chłopców: szacunku łobuzy! Miejcie poważanie dla starszego człowieka! Uszanujcie człowieka z brodą!

Nic nie szkodzi. Nic nie szkodzi, zwykł był na to odpowiadać Sanderł. Co mi to szkodzi? Też mi zmartwienie. Niech sobie szczypią.

U siebie w domu Sanderł nie zaznał słodyczy. W domu spodnie nosiła ona — małżonka. Ona sprawowała władzę. Jemu w udziale przypadł ciężki los. Żona trzymała go w ciągłym strachu. Bywało, że go biła. On zaś, nieszczęsny, przyjmował to z pokorą. Gdy zbliżały się święta, kazała mu zwykle malować mieszkanie. Własnoręcznie zawiązywała mu wtedy brodę chustką. Dla niej obierał kartofle, miesił ciasto, kroił makaron, faszerował rybę, przynosił drzewo i palił w piecu. Słowem, robił to wszystko, co powinna robić kobieta. Dlatego też przezwano go Sanderł — Baba.

Tego to Senderł — Babę obrał sobie Benjamin na spowiednika. Przed nim miał otworzyć swoje serce. Jego miał się radzić. Jaki był w tym sens? Dlaczego właśnie Senderł? A sens był taki. Benjamin odczuwał zawsze w stosunku do Senderła coś w rodzaju miłości. Z wielu względów Senderł mu się podobał. W wielu sprawach mieli jednakowe zdanie. Każda rozmowa z nim dostarczała Benjaminowi satysfakcji. Może odgrywał w tym rolę fakt, że Senderł nie był uparciuchem. Benjamin był pewny, że Senderł zaakceptuje jego plan, że we wszystkim będzie mu ustępował. A gdyby nawet przyszło Senderłowi do głowy uprzeć się przy kilku punktach, to on Benjamin, przy Bożej pomocy i dzięki swym zdolnościom krasomówczym, da sobie z nim radę.

I stało się tak, że Benjamin poszedł do Senderła. A gdy zjawił się u niego, zastał go siedzącego na mlecznej ławce. Obierał właśnie kartofle. Akurat je skrobał. Jeden policzek miał czerwony. Jakby płonął ogniem. Pod okiem miał duży siniak. Siedział jakiś osowiały i smutny niczym młódka, którą mąż właśnie porzucił, albo jak kobieta, którą dopiero co mąż spoliczkował.

Żony Senderła nie było w domu.

— Dzień dobry Senderł! Czemuś taki smutny, mój kochany— rzekł Benjamin i wskazując palcem na policzek dodał — aha, znowu ona? Gdzie się podziewa ta twoja dziewczyna?

— Na targu.

— Doskonale — krzyknął niemal Benjamin z wielkiej radości — Zostaw, moja duszo, te kartofle. Wejdźmy lepiej do alkierza. A nie ma tam nikogo? Nie potrzebuję policjanta do rozmowy z tobą. Chcę otworzyć przed tobą moje serce. Już więcej nie mogę. Nie mogę już wytrzymać. Wszystko we mnie wre i kipi. Prędzej kochany, szybciej. Ona jeszcze może nadejść i wszystko zepsuć.

— A mnie tam co? Chcesz prędko, niech będzie prędko, też mi zmartwienie. Powiedziawszy to Senderł wszedł do alkierza.

## Podróże Benjamina III

Wpisany przez rb. Aron Baranowski

Czwartek, 21 Marzec 2013 13:37 - Zmieniony Sobota, 10 Sierpień 2013 09:11

---

— Senderł — zaczął Benjamin. — Powiedz mi, czy ty wiesz, co jest po drugiej stronie Tuniejadówki!

— Wiem, tam jest karczma, gdzie czasem można dostać dobrej wódki.

— Głupi jesteś, Mam na myśli, co jest dalej, znacznie dalej.

— Jeszcze dalej od karczmy? — Zdziwił się Senderł. — Nie, tego nie wiem. A ty Benjaminie wiesz?

— Czy ja wiem? Też mi pytanie. Tam ci dopiero świat. — Benjamin wypowiedział to ze szczególnym ogniem, tak jak chyba Kolumb, gdy odkrył Amerykę.

— Cóż więc tam jest?

— Tam, tam — zapalił się Benjamin—tam jest smok, tam są potwory!

— Czy to ten potwór, który dla króla Salomona ciął kamienie pod budowę świątyni?—Zapytał prostodusznie Senderł.

— Tak, kochanie, tak. Tam na ziemi Izraela w tamtej krainie.

— A chciałbyś tam być?

— A ty?

— Też pytanie. Oczywiście, że chcę, Senderł. Chcę i wkrótce tam będę.

— Zazdroszczę ci Benjaminie. Najesz się do syta Chleba świętojańskiego i daktyli.

— I ty byś mógł się najeść. Masz taki sam udział w Ziemi Izraela, jak ja.

— Udział udziałem, ale jak się tam dostać? Tam przecież Turczyn panuje.

— Na to, Senderł, znajdzie się sposób. Powiedz mi kochany, czy wiesz coś o Czerwonych Żydach?

— Nasłuchałem się o nich wielu opowieści za piecem, ale żebym wiedział dokładnie, gdzie mieszkają i jak do nich dotrzeć, tego nie wiem. Gdybym wiedział, nie omieszkałbym ci powiedzieć. Czemu nie? Co mi tam!

— A ja widzisz wiem — powiedział z dumą Benjamin i mówiąc to wyciągnął z kieszeni książkę — Sziwchej Jeruszołaim, zobacz, co tu napisane. Przeczytam ci: „Gdy tylko przybyłem do Barutu, spotkałem czterech Żydów z Babilonii. Z jednym nawiązałem rozmowę, znał hebrajski, a nazywał się Mojżesz. Przekazał mi wiele prawdziwych informacji o rzece Sambation. Sam to słyszał od Izmaelitów (Turków — mahometan), którzy na własne oczy ją widzieli i twierdzili, że mieszkają tam synowie Mojżesza”. A dalej powiedział tak: „Przywódca tamtejszych Żydów opowiadał mi, że jakieś 30 lat temu, zatrzymał się u niego pewien mąż, a był on z plemienia Szymona, który twierdził, że w jego rodzinnej miejscowości przebywają cztery plemiona, spośród których wymienił plemię Isoschor, plemię zajmujące się studiowaniem Tory. Z tego też plemienia wywodzi się rządzący tam król”. Poza tym przecież wyraźnie napisane jest w książce „Podróże Beniamina”: „Stamtąd jest około 20 dni drogi do gór Gisbon wznoszących się nad rzeką Guzon. W górach Gisbon mieszkają cztery plemiona: Don, Zwulon, Aszer i Naf-tali. Ich państwo znajduje się na obszarach położonych w górach. Z jednej strony otacza je rzeka Guzon. Nie znają te plemiona, co to jarzmo innych ludów. Jednego mają króla nad sobą a na imię mu reb Josef Amarkalo Halewi. I łączy ich przymierze, unia z Kofer El Torech (legendarna nazwa jak i poprzednie). Poza tym zawiera wiele informacji o rodzie Bnej — Rechew (w Biblii jest o nich wzmianka) oraz o kraju Tejma. w którym panuje król żydowski, w którym to państwie

pości się i odprawia modlitwy z powodu rozproszenia w diasporze synów Izraela”. A więc jak myślisz, kochany, co by też oni zrobili, gdybym tak ja, Benjamin z Tuniejadówki nagle przed nimi się zjawił? Co sądzisz o tym Senderł?

— Ja, powiadam ci Benjaminie, byłbym po prostu wniebowzięty. To przecież nie byle co, taki gość, taki drogi gość. Każdy chce cię gościć. Wrywać sobie będą ciebie. Król Amar-kolo chyba też. Zechciej przekazać im ode mnie najserdeczniejsze pozdrowienia. Gdybym mógł, powiadam ci, to bym wyruszył wraz z tobą.

— A więc — krzyknął Benjamin, nagle natchniony nowym pomysłem — a więc, może byśmy razem odbyli tę podróż? Słuchaj głuptasku, teraz, wierzaj mi, masz świetną okazję. Właśnie wyruszam tam. Zabieram cię z sobą. We dwójkę jest rażniej. Jeśli na tym świecie wszystko może się zdarzyć, zostanę tam królem, to uczynię ciebie moim zastępcą, wicekrólem. Masz na to moją rękę. Jak długo chcesz tu tkwić i znosić niewolę swojej małżonki, tej megiiery. Popatrz na swój policzek. Marny twój los. Zaklinam cię, Senderł, chodź ze mną, nie pożałujesz.

— W takim razie — odpowiedział Senderł — niech będzie jako rzekłeś, skoro taka twoja wola—A ona, co ona na to powie?

— Też ci zmartwienie. Byłbym chyba ostatnim durniem, gdybym jej powiedział, dokąd mam zamiar się udać.

— Kochany mój, daj, niech cię ucałuję!

Benjamin wypowiedział to z wielką radością i czule objął Senderła — Babę. Jednym słowem rozwiązałeś mi problem, bardzo trudny problem. Teraz ja powtarzam za tobą. A co powie ona? Mam na myśli moją połowicę. Też mi zmartwienie. Pozostała jeszcze jednak jedna kwestia. Skąd wziąć pieniądze na podróż?

— Pieniądze na podróż? Czy masz zamiar wykosztować się na nowe ubranie Benjaminie, albo na przenicowanie kapoty? Posłuchaj mnie, ja bym ci tego nie doradzał. Przeciwnie, na drogę bardziej nadaje się stare obuwie. Nowe, piękne ubrania dostaniemy chyba na miejscu.

— Racja, zupełnie słusznie. Tam nie będziemy mieli trosk tego rodzaju. Ale na razie, póki nie dotrzemy do celu, trzeba trochę pieniędzy na żarcie.

— Co znaczy Benjaminie, na żarcie? Czy masz zamiar wozić z sobą kuchnię? W jakim celu? Czy to po drodze nie ma szynków, domów?

— Nie rozumiem ciebie Senderł. Nie wiem, co masz na myśli — odpowiedział Benjamin ze zdumieniem.

— Sądzę — odpowiedział dobrodusznie Senderł — że skoro są jeszcze domy, to za jednym zamachem można po nich chodzić po prośbie. A jak postępują inni Żydzi? Jedni chodzą do drugich, po czym drudzy chodzą znów do innych. Żydowska to przecież specjalność, pożyczać...

— Przypuszczam, że masz rację! Mamy teraz jasny obraz — powiedział z radością Benjamin.

— W takim wypadku mogę powiedzieć, że całkowicie gotów, że mam wszystko. Jutro o świcie, gdy wszyscy jeszcze będą pogrążeni we śnie, wyruszymy. Nie wolno tracić czasu. Byłby to grzech. Zgoda?

— Chcesz jutro, niech będzie jutro. Też mi zmartwienie.

— Jutro rano, skoro świt Senderł, wymknę się po cichu z domu. Będę na ciebie czekał koto nieczynnego wiatraka. Nie zapomnij Senderł, jutro o świcie. Pamiętaj — jeszcze raz powtórzył Benjamin i chciał już odejść.

— Zaczekaj chwilę, Benjaminie — odezwał się Senderł. Zaczął szperać w wewnętrznej kieszeni marynarki, wydobył stąd jakiś kawałek wytartej skóry, opasanej sznurkiem i zawiązanej na 20 chyba supełków. Zawartość tego woreczka skórzanego zdążyłem uzbierać w ciągu całego mojego życia pod panowaniem mojej żony. Zacząłem zbierać od dnia ślubu. Czy to się przyda na początek?

## Podróże Benjamina III

Wpisany przez rb. Aron Baranowski

Czwartek, 21 Marzec 2013 13:37 - Zmieniony Sobota, 10 Sierpień 2013 09:11

---

— Zasłużyłeś, kochany, na tysiąc pocałunków — głośno powiedział Benjamin i serdecznie uścisnął Senderła.

— Och, żeby cię szlag trafił — rozdarł się nagle krzyk — Popatrzcie no, proszę was, na tę wielką miłość. Jak to się ściskają, jak się obejmują. A tu ci w samym środku izby stoi koza i obżera się kartoflami. Zeby cię robaki zjadły!

Krzyk pochodził od małżonki Sanderła. Zelda stała cała, jakby w płomieniach. Jedną ręką pokazywała na kozę, drugą przywoływała Senderła. Senderł ociągając się, powoli ruszył w kierunku izby. Podobny był do dziecka, które coś przeszkrobało, a teraz oczekuje zasłużonej kary.

— Trzymaj się Senderł, to już ostatni raz, pamiętaj, jutro skoro świt — Tak mu na ucho szeptał Benjamin i niczym kot wymknął się z izby.

rb. Aron Baranowski, Floryda